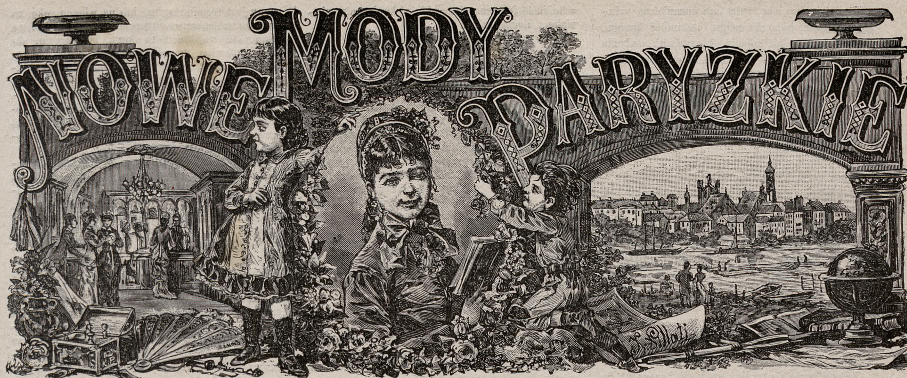
№ 31. Warszawa, dnia 22 Października (3 Listopada) 1880 r. Rok 1.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

Z dniem 1-ym Listopada, Redakcya przeniesioną została z pod N-ru 10 pod N-er 8, na ulicy Niecałej.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

I.

Wstęp.

Kto dziś przejeżdża przez miasto Sacramento, nie w kierunku San-Francisco, ale na południe ku rzece Makosme, ujrzy jeszcze dom, w którym mieszkał Sutter, pierwszy odkrywca złota w Kalifornii.

Dom dziś już stoi za miastem, i jest ruiną; dachu na nim nie ma, mury lepione z szarej gliny, a barwne przez ogień, przez kule meksykańskie i szczerbione indyjskiemi tomahawkami zrysowały się, porozpadały i częściowo zmieniły w bezładne kupy gruzu; ale mieszkańcy miasta ogrodzili je drucianym płotem i strzegą jak oka w głowie, tych ostatków „kalifornijskiej kołyski.“

Gdyby bowiem nie ten dom, nie istniałoby Sacramento, nie istniałoby czterechkroćstotysięczne San-Francisco, kolej nie łączyłaby dwóch oceanów i Kalifornia nie byłaby tem, czem dziś jest, to jest krainą szumiącą łanami zbóż, gajami pomarańcz, winnic, drzew migdałowych i pieprzowych, ale najprawdopodobniej głuchą i bezludną pustynią.

Sutter odkrywca złota, tak stworzył Kalifornię, jak później Strzelecki Australię.

Dziwne czasem przeznaczenia wiążą się z zamiarami ludzkiemi. Sutter był człowiekiem ogromnej osobistej energii, ale raczej idealistą, niż człowiekiem praktycznym.

Przybywszy z kilku towarzyszami do Kalifornii założył tartak. Dlaczego i po co? trudno powiedzieć.

Tartak może przynosić znakomite zyski w krainach zaludnionych, gdzie się budują domy, okręty i tym podobnie. Ale w pustyni, jaką naówczas była Kalifornia, co robić z deskami? A jednak tartak stanął. Dwa razy palili go indyanie, i za każdym razem odbudowywano go nanowo. W czasie drugiego napadu, Sutter oblężony w owym wspomnianym domu, mało nie zginął ze wszystkiemi towarzyszami.

Ale napad szczęśliwie odparto, w dwa tygodnie zaś później, tartak szumiał i klekotał jak dawniej.

Może szum jego kół, przypominał Sutterowi szum wodospadów ojczystej Szwajcaryi. Aż pewnego razu, gdy koła milczały, jeden z towarzyszów Suttera, dostrzegł pod niemi w przezroczy wodnej, grube, połyskujące żółtawo ziarna.

Było to złoto.

Jakim sposobem wieść o niem przebiegła w mgnieniu oka pustynię rozległą na cztery tysiące mil angielskich i doszła do New-Yorku, trudno powiedzieć, dość, że losy Kalifornii były od tej chwili rozstrzygnięte.

Kupcy w New-Yorku, Bostonie, Filadelfii i Baltimore, porzucali swe kramy, urzędnicy urzęda, plantatorowie południa swe plantacye, rozbójnicy na Missisipi swe *porohy*, skwahrowie swe stada, strzelcy swoje puszcze i wszystko co żyło dążyło do Kalifornii kopać złoto i szukać go w rzekach, rzeczkach, strumieniach, wzgórzach, wąwozach.

Dziś śluzy tylko długie na kilka mil czasem i upowite w bluszcze, powoje, liany, kapiące uwiciem i festonami zieloności, przypominają że Kalifornia jest krajem złotodajnym. Ale dziś kopalnie zmieniły się w przedsiębierstwa akcyjne i praca rąk zastąpiona machinami; wówczas zaś widziałeś setki ludzi pracujących osobiście z rydlem w ręku i taczkami. Rozkopywano całe wzgórza, zmieniano koryta strumieni, pracowano dzień i noc, pod palącem słońcem, bez dachów nad głową, wśród huku strzałów rewolwerowych.

II.

Sacramento.

Kiedy Sutter zbudował swój pierwszy dom i tartak, nazwa Sacramento już istniała.

Mianowano nią nietylko rzekę, ale i osadę na lewym brzegu leżącą. Była to jednak meksykańska mieścina, w całem znaczeniu tego wyrazu. Składał ją szereg obdrapanych domów, tuż nad wodą stojących, budowanych z czerwonego drzewa, którego lekkie i źle przybijane deski, każdy wiatr odrywał. Niektóre z tych budowli wzniesione były z chrustu pomazanego jaskrawą gliną, wydobytą z rzeki; inne podobniejsze były do indyjskich wigwamów w kształcie ostrokręgów, ze szczytu których sterczały tyczki.

Dwa największe budynki były to „wenty“ w których sprzedawano wódkę i mescal. Wieczorami rozlegały się z nich klątwy grających w karty „caballerów“ i suche dźwięki krzyżowanych w bitwie noży. Trupy wyrzucano w wodę z obszernych werend wysuniętych, aż nad powierzchnię rzeki. Na pierwszy rzut oka, domów nie było wcale widać, wszystko bowiem przesłaniały rozpanoszone wszechwładnie płaczące wierzby. Jasnozielone warkocze ich przedstawiały zbitą i pogmatwaną massę, częścią zatopioną w wodzie, częścią pokrywającą brzeg. Młode pędy wyrastające z ziemi, mieszały się ze staremi, tamując przystęp do rzeki. Niepodobieństwem było posunąć się krok jeden w tej gęstwinie, ale

Z dniem 1-ym Listopada, Redakcya przeniesioną została z pod N-ru 10 pod N-er 8, na ulicy Niecałej.

z drugiej strony oddawała ona niezmierną usługę, albowiem woda nie mogła podmulać brzegu, który w miarę jak między korzeniami osadzała się glina, wznosił się stopniowo, broniąc osadę od zalewu. Ale w ogóle niedostateczna to była obrona, po zimowych deszczach czerwone fale pokrywały brzeg, gałęzie i osadę. Na pozostałym mule puszczały się ślazy, ljany i powoje, słowem nowe lasy wyuzdanej, nieprawdopodobnej roślinności.

Drugi brzeg był nizką łąką.

Jest nią dotychczas. Łąka ta ciągnie się jak okiem dojrzeć i z wyjątkiem miesięcy letnich, przez większą część roku prześwieca wodą. Powierzchnia owej „preryi" nęci oko żywą, wiecznie świeżą zielonością trawy i migotaniem tysiącznych barw łącznego kwiecia. Tulipany, irysy, lilie białe, wielkie blado-różowe gwoździki, żółte wanilie, wychylają głowy nad trawę i kołysane wiatrem mienią się jak tęcza. Na wyższych kępach rosną czarne dęby (blach oaks), z których liść nie spada nigdy.

Łąka ciągnie się wzdłuż prawego brzegu aż do oceanu i jest ziemią obiecaną dla wodnego ptastwa. Mewy, dzikie gęsi, kormorony, pelikany, kaczki szare, czarne i różowe, żórawie, czaple i kulony gnieżdżą się tu, żyją, umierają w niezakłóconym spokoju.

W miejscowościach suchszych żyją króliki, zające, w błotach łosie, w zaroślach jelenie i kuguary. Prócz tego wszędzie pasą się trzody. Bydło sprowadzone jeszcze przez jezuitów z Meksyku, rozmnożyło się tu bardzo. Łąka żywiła osadę, meksykanie bowiem byli hodowcami. Rolnictwo za czasów Sutterowego tartaka prawie że jeszcze nie istniało. Na południu od Los Angelos, księża zasadzili w Missyi pierwsze szczepy winne, ale na północy sadzono tylko kukurydzę, której ziarna tłuczono w pierwotny sposób między kamieniami. Zresztą majątek stanowiły tylko woły i krowy, których nie było komu sprzedawać. Żadne okręty nie przybijały jeszcze do pysznego vay'u San-Francisco. Nie jeden też caballero stawiał na kartę po 10 wołów i 20 krów. Bogactwem były także stada koni, tak zwanych mustaryów, o krwawych oczach i pokudłanych ogromnych grzywach, ścigłych, ognistych, ale złośliwych. Kobiet brakło zupełnie. Miejscowi mieszkańcy osady, brali za żony indyanki z pokoleń Soussonów i Wężów, które to pokolenia zamieszkiwały stoki Sierra-Newada.

Życie prowadzono pustynne i nawpół dzikie. Księżyc, który wieczorami podnosił się nad „łąką" oświecał ziemię uśpioną, zupełnie pierwotną. Dymy wydobywające się z pomiędzy wierzb były jedynym znakiem, iż ludzie żyją nad Sacramento. Ciszę przerywało tylko wycie dzikich zwierząt i klekotanie historycznego tartaka.

(d. c. n.)

Z TYGODNIA.

— P. Tomaszewiczówna uzyskała już zupełne prawo prowadzenia praktyki lekarskiej. Jest to fakt podwójnie ważny; najprzód dlatego, że panna T. jest u nas pierwszą przedstawicielką *kobiety-lekarza*, a powtóre, że krok ten na drodze rozumnej emancypacyi kobiecej był i jest ze wszech miar pożądanym.

Tak jest, powtarzamy, krok ten był pożądanym, bez względu na niezadowolenie tych, którzy w kobiecie-lekarzu chcą widzieć koniecznie zjawisko... nienaturalne.

Dziwne to doprawdy „widzimisię!"

Bo i cóż może być bardziej właściwego i naturalnego, jak kobieta lecząca kobietę, albo dziecko, jeżeli ta kobieta-lekarz przystępuje do spełniania swoich obowiązków z powagą i godnością, a posiada przytem odpowiednie kwalifikacye naukowe?

Zdaje się, że ogół kobiet, tych zwłaszcza, które potrzebując się leczyć, nie chcą przecież udawać się do lekarzy mężczyzn, emancypacyi w tym kierunku przyklasnąć tylko może, a pannie Tomaszewiczównie powinszować nie małego zasobu energii i wytrwałości, bez czego w obec uprzedzeń i przesądów nie mogłaby niezawodnie dojść do iście szlachetnego i pięknego celu.

Ileżto jest dziś kobiet, które tylko przez wrodzoną skromność niewieścią odkładają kuracyę z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, a nawet z roku na rok, i udają się do lekarzy wówczas dopiero, gdy jest już... zapóźno!

Ręczyć można, że niejedno osierocenie dziatek, niejedna przedwczesna śmierć młodej matki, to smutna konsekwencya tego jedynie, że matki te, do lekarzy mężczyzn udawać się dość wcześnie nie chciały, a do lekarzy-kobiet udawać się nie mogły, bo ich dotąd nie było.

I oto, dlaczego głównie krok zrobiony przez pannę T. nazywamy szczęśliwym i pożądanym.

Obok tego, poza chorobami kobiecemi istnieją choroby dzieci, a czyż i w tym razie pomoc lekarska kobiety nie może być również najzupełniej właściwą i naturalną. Jakiż chory może potrzebować, więcej cierpliwości, łagodności, spokoju i że tak powiem odgadującego instynktu, jak chore dziecię, które cierpiąc i niknąc nieraz w oczach zrozpaczonych rodziców, nie umie przecież powiedzieć co je boli, ani wskazać siedliska swej choroby?

Zdaje się, że i tutaj sama natura właśnie powołuje do lecznictwa kobiety, posiadające obok przenikliwości, wszystkie wspomnione warunki w wyższym stopniu aniżeli mężczyźni.

Kto obserwował chore dzieci, ten przyzna niezawodnie, że biedne te istotki potrzebują w chorobie nie tylko mieszanin medycznych, lecz także serca i łagodnej tkliwości, a tak jednych jak drugiej, tylko od kobiety-lekarza mogą oczekiwać.

Chętnie więc do panny Tomaszewiczówny wyciągając życzliwą rękę, witamy ją serdecznie jako pierwszą u nas lekarkę. Bo i to dodać trzeba, iż myliłby się, ktoby w pannie T. chciał widzieć, przedewszystkiem emancypantkę, co zerwawszy z płcią swoją, pragnie jedynie uchodzić za zjawisko... oryginalnie i budzić zaciekawienie.

Tak nie jest: panna T. nie uganiając się za oryginalnością, pragnie tylko na nowem polu pracować pożytecznie, i na zawód swój patrzy poważnie, a to naturalnie, może jedynie zjednywać jej coraz szerszą sympatyę i zachęcać inne kobiety do szlachetnego naśladownictwa.

Powtarzamy bowiem raz jeszcze: kobiet-lekarzy nam potrzeba, a że zadosyćuczynienie potrzebie tej, wbrew proroctwom zwolenników rutyny i zwyczaju, nie podkopie bynajmniej stanowiska rodziny, nie ostudzi w kobiecie uczuć jej właściwych, ani też wpłynie na osłabienie węzłów rodzinnych, postaramy się dowieść tego obszerniej w artykule osobnym.

Tymczasem nie pozostaje nam, jak życzyć aby pierwsza nasza lekarka wytrwawszy dotąd, szła i dalej *naprzód*, zwalczając jużto uprzedzenia ogólne, już też niechęci osobiste tych, którzy dla wszelkiej inowacyi wkraczającej na pole ich... własnego interesu, nie lubią okazywać zbyt wielkiej życzliwości....

— Jedynie podniesienie poziomu ukształcenia, może wpłynąć na fatalne u nas skutki życia nad stan. Wystawne urządzenie domu, pyszne toalety kobiet, wydatki nie zastosowane do dochodów: oto są nurtujące nas rany. Spójrzmy w najniższe warstwy, tam gdzie praca jest podstawą bytu, jak źle dany przykład z góry, oddziaływa. I tam już wszelkie akcesorya zbytku są nieodłączne przy ważniejszych uroczystościach, jak zaślubin, chrztu i t. p.

Młodsza, lub kucharka, jeśli za mąż wychodzi, a nie wychodzi zbyt świetnie, bo zwykle narzeczony jest terminatorem, lub na własną rękę, za krwawo uzbierany grosz pragnie warsztat, choć na małą skalę założyć, taka sługa, powtarzam, do ślubu nie chce inaczej pojechać tylko karetą. Stroi się w suknię najświeższej mody, białą, lekką, z trenem trzyłokciowej długości i spętana, nie umiejąca kroku postąpić Wikta albo Maryška, wsiada do karety, która ją wiezie do kościoła. Osoba wiarogodna opowiadała nam fakt rzeczywisty, dosadnie malujący ów zbytek, opłakany w skutkach.

Kucharka owej pani, przez kilkanaście lat służby uzbierała kilkadziesiąt rs. Sumka ta stała się przynętą konkurentów i znalazł się szczęśliwy wybrany, o kilkanaście lat młodszy kawaler, któremu udało się pozyskać względy posażnej kucharki. Gdyby owa sługa te kilkadziesiąt rs. obróciła na urządzenie małego gospodarstwa, na polepszenie losu męża, który był czeladnikiem, wszystko dość byłoby chwalebnem. Ale cóż się dzieje: najpierw idzie o zrobienie wykwintnej sukni do ślubu; usłużna kupcowa dostarcza cudacznej ogoniastej sukni tarlatanowej za kilkanaście rs.: ta, raz użyta, już na nic się zdać nie może, gdy dawniej suknia ślubna matki, jeszcze córce służyć mogła. Następnie odbywają się narady z weselem: wino, kolacya, służba i nieodłączna kareta pochłania resztę mozolnie zebranej sumki. Mowy już być nie może o założeniu w przyszłości warsztatu, pan młody widzi swe nadzieje rozwiane, a wszystkie protestacye z jego strony gburowato są odtrącone, że każdemu wolno robić z swemi pieniędzmi co chce. W fakcie przytoczonym zakończenie istnie było dramatyczne.

Panna młoda wysiadając z karety, którą niestety, pierwszy raz jechała, zaplątała nogi w tren spętanej sukni pierwszy raz włożonej, i upadła na bruk tak szkodliwie, że ciężką niemocą jest złożona; pan młody chorej żony brać nie chce do siebie, a nieszczęśliwa wrócić musiała do ojca na wieś, postradawszy pieniądze, zdrowie i męża, a wszystko z przyczyny karety i sukni ogoniastej.

Nie jest to fakt jedyny, tysiące rzeczy się dzieje, które, ani się śniły babkom naszym; a że źle jest w ogóle, pokazują ciągłe upadki rodzin zamożnych i prawdziwa nędza klasy niższej.

— Jak poradzić na coraz większe narzekania pań na sługi? Skargi te mniej więcej tak brzmią: drogo się zgodziła, nic nie umie, a jest harda. Zły sposób godzenia sługi jest tu poczęści winą. Przyprowadzają ją do zgody bez żadnego świadectwa, a pani w obawie aby nie została bez sługi, godzi pierwszą lepszą, wychwalającą się że umie gotować, prać, prasować i t. p., słowem gotowa do wszystkiego.

Przy coraz droższem życiu, średnio zamożne rodziny już tylko jedną sługę są w stanie utrzymywać; dla tego taka jedna sługa, jeśli się okaże dobrą, jest nieoceniona. Lecz po większej części wręcz przeciwnie się dzieje. Zniechęcenie ogólne powstaje, pani gniewać się musi, a sługa stawia się hardo i rzuca służbę, aby znów w inny dom wnieść zawód i niepokój.

Zdawałoby się, że szkoła kucharek powinna była choć w części temu zapobiedz i dać nam corocznie kilkadziesiąt sług wykwalifikowanych w gotowaniu. Nadzieje jednak zawiodły. Mamy przed sobą sprawozdanie roczne z działalności szkoły. Przełożony p. Łojko, słusznie się użala na zobojętnienie ogółu na tak pożyteczny zakład. W szkole kucharek przez rok cały, jedynie 13 uczennic było, z których dwie bezpłatne na kursie półrocznym. Wskutek czego szkoła rozwinąć się nie mogła, jak to było pierwotnym zamiarem.

Nie jednej z pań, lub młodych panien nie zawadziłaby nauka kucharstwa, aby w obec nieumiejętności sług naszych, mogły je wyuczyć zdrowo i smacznie gotować. Opłata w zakładzie wynosi za kurs 18 rs., trwający trzy miesiące, codziennie od 9-tej do 1-szej z południa, pod kierunkiem kuchmistrza i nadzorczyni. Zakład mieści się przy ulicy Chmielnej N. 11, założycielem i dyrektorem jest, jak to wyraziliśmy p. Łojko, który wytrwale krząta się około praktycznego wykształcenia kobiet naszych. Rok przyszły powinien być pomyślniejszym i panie nasze zwalczywszy przesąd, chętnie wziąść się powinny do

tej tak pożytecznej i niezbędnej nauki smacznego i zdrowego przygotowania pokarmu. Bylibyśmy za tem, aby dla sług opłata niższą była o połowę, co przy rozwinięciu zakładu nastąpić powinno. Nie jedną panią zachęcić to może do posyłania swym kosztem sługi na naukę.

Wszystkie u nas projekta zwykle w początkach trudne są w wykonaniu, z czasem tu przełom nastąpi, czego zakładowi szczerze życzymy.

— Bawi w naszem mieście profesor deklamacyi w Wiedniu p. Strakosch, który zeszłej niedzieli przed nielicznem kołem słuchaczy odczytał Fausta i poemat Mürgera. Szkoda że po niemiecku i francuzku, a nie w naszym języku słyszymy tak przewyborną deklamacyę, połączoną z szlachetną dykcyą. U nas w zaniedbaniu ogromnem jest deklamacya, a szkoda, bo język nasz tak obrazowy,jędrny i dźwięczny zarazem, cudownie nagina się do wszelkich modulacyi.

— Od kilkunastu lat wznosząca się świątynia dla wyznania reformowanego, ukończoną została nareszcie i w dniu 24 z. m. odbył się akt poświęcenia kościoła.

Liczny orszak ludzi uczestniczył w tej uroczystości; po odbytem nabożeństwie w starej świątyni, w języku niemieckim, rozpoczął się pochód przy odgłosie pieśni chóralnych, pod dyrekcyą pana Münhejmera; u drzwi nowej świątyni przemawiał p. Semadeni, prezes komitetu budowy kościoła, a budowniczy p. Loewe wręczył klucze superintendentowi wyznania reformowanego, który po przemówieniu do obecnych otworzył kościół i wprowadził orszak do wnętrza. Mowy głoszono w języku polskim.

Nowo wybudowany kościół przy ulicy Leszno, imponuje wysoką wieżycą w stylu gotyckim. Wnętrze pełne prostoty. Sklepienie wspiera się na dwóch rzędach filarów z lanego żelaza, formujących trzy nawy, z których boczne pokryte są galeryami.

Nowy kościół należy do najpiękniejszych gmachów miasta.

Nie Wesoło.

Chcecie mej pieśni, a pieśni innej,
Kiedyż wesoło śpiewać nie umiem;
Bom zapomniała piosnki dziecinnej,
Com ją nuciła na wieku trumien.

Śliczna to była, śliczna piosenka,
Grały w niej wszystkie struny nadzieją;
Śniła się dziecku biała sukienka,
Śniły się róże, że się doń śmieją.

Śniły się także cudne postacie....
Białe anioły o skrzydłach białych;
Lekkiej, powiewnej, jako mgła szacie,
W jasnych koronach, ze słońca całych.

Jam zapomniała wesołej pieśni,
Pijąc kroplami, kielich goryczy;
Życie nie kwiatem, doli nie prześni,
Ale ją łzami, bólem przeliczy!...

Bo w życiu nieraz krzyż dźwigać trzeba,
Często tak ciemno, czarno na drodze;
Nie ujrzysz gwiazdy, ni skrawka nieba,
A mróz cię na wskroś przenika srodze.

Jeśli odważysz wołać „jałmużny,"
„Światła i ciepła"—wołasz z rozpaczą;
Głos ci twój, wicher powróci próżny,
I dalej pędzi w drogę tułaczą.

Jam zapomniała wesołej pieśni...
Na progu życia śniłam tak wiele;
A czegóż dziecię nie pragnie, nie śni,
Za czemże dłonią, nie sięga śmiele?

Nie było gwiazdy w jasnym błękicie,
Nie było kwiatka, w leśnej dąbrowie,
Bym ja szalone, niebaczne dziecię,
Nie zapragnęła mieć je na głowie.

Nie zapragnęła w kwiatów szkarłaty,
Ustroić dziecka białą sukienkę,
A z gwiazdek uwić wieniec bogaty,
A ptaszkom wykraść tkliwą piosenkę.

I wyciągałam po gwiazdy dłonie,
I tak w dziecinnej pustej swawoli,
Korony kwiatów kładłam na skronie,
A gwiazdy, kwiaty, nikły powoli.

I tak mi w oczach nagle ściemniało,
Słońce się skryło kirem żałoby,
A chociaż w duszy święto i biało....
Ze złudzeń szczęścia, zostały... groby!

I dziś kwiatami stroję me czoło,
Jak dawniej śpiewam, ale bolesniej;
I już mi w świecie tym nie wesoło...
Bom zapomniała wesołej pieśni.

Liljana.

LIST

ś. p. hr. Władysława Tarnowskiego, do autora Lirenki.

Szanowna Redaktorko!

„Posyłam list naszego kochanego ś. p. Władysława Tarnowskiego, pisany do mnie z Jaffy, z którego zrób użytek, jaki zechcesz: możesz drukować, jeśli ci się podoba; możesz i spalić, jeśli ci się nie podoba: *fiat voluntas.*

Przyjmij wyrazy najgłębszego szacunku.

Teofil."

Jaffa, 1 Czerwca 1874 r.

Mój drogi Teofilu!

Jeżeli ulgę przynosi w ciężkich chwilach żywota, dzielić się boleścią z blizkimi nam po duchu, o ileż większą radością przepełnia nas, módz podzielić się jasnemi chwilami życia, a takiemi były ostatnie w tej podróży przebyte. Co się z tobą dzieje i jak się miewasz? Ja od rozstania z tobą płynę i koczuję, z miejsca na miejsce powoli, ale gruntownie się kształcąc, a gdzie się zachwycam jakim przedmiotem, tam dłużej odpoczywam. Z Aten czy z Latakie, jeśli się nie mylę, ostatni raz do ciebie pisałem, pożegnawszy drogiego raz na zawsze Karola Brzozowskiego, który aż do Bejrutu dla mnie się trudził, by mnie poznać z Mahmudem paszą i od niego wyjednać listy do szeików i paszów w drodze. Ruszyłem ku Balbekowi pasmem Libanu, tam czekała mnie pierwsza walka: olbrzymie śniegi spadły śród mej drogi, dyliżans ugrzązł, konie popadały. Sam z jednym mukrem, woląc wszystko znieść niż się cofnąć, brnąłem w śniegach trzy dni; ostatni z nich zdał mi się ostatnim w życiu: śnieżyca taka powiała śród grzmotów i piorunów, że nam znikł cały horyzont; noc zapadła i muł ugrzązł i padł w śniegu. Płuc już nie czując, szedłem gdzie zajdę i już w chwili zwątpienia, o zmierzchu, ujrzałem kilka chat arabskich; była to wioska Ablach w Libanie: uratowany, tam święta wielkanocne spędziłem w zawiei świat zasłaniającej.

Po czterech dniach, z żalem za gościnnymi arabami, co mnie ze łzami żegnali, ruszyłem ku Balbekowi i w dwa dni byłem śród jego mammutowych murów, których wspaniałość byłaby dla mnie największą ze wspaniałości umarłych światów, gdybym był Palmyry nie widział.

Wróciwszy do Bejrutu, który bardzo polubiłem z wielu względów i gdzie wiele mych wspomnień zostanie, udałem się przez Damaszek, ten istny raj wschodni i ostatnie słowo Islamu, prosto do Tadmor, mimo próśb, krzyków i molestacyi, których nigdy kanalia ludzka nie szczędzi, by kogoś zatrzymać na drodze ku większemu celowi. Dwanaście dni wędrówki w puszczy, która jeszcze miała kwiaty wiosenne, poranki i noce pełne uniesień i chwały Biblijnej, dwanaście nocy pod namiotem, i ujrzałem za ten mały trud, królowę puszcz i wszech gruzów świata, po której nic się już widzieć nie żąda.

I czy słońce zapada za purpurowy horyzont nad temi filarami koryncklemi, szeregami w różnych kierunkach na niesłychane odległości bieżącemi w pustyni, czy księżyc z bladego chmur opalu powstaje i mgły srebrne ruiny otulają, ach! zawsze one te same, piękne, smutne, olbrzymie i demoniczne tragicznością swoją bez końca, gubią się na horyzontach puszcz, nieba i historyi. I czujesz tam dni chwały Salomonowej, co ich węgieł kładła i wielkość, a upadek Zenobii, co je uświetniła, i zuchwalstwo Romy kwitnące myślami Adryana, w skamieniałych gierlandach po łukach tryumfalnych, i promienność geniuszu Grecyi spadkobiercy egipskiej myśli, i płomienność Islamu aż do niszczyciela Tamerlana! I palmy szumią dziś na tych gruzach i paszcza wichrów miota na nie tumany piasku, wśród ciszy głos hieny lub szakala woła w pustyni, i małe źródło płacze u stóp gruzów, po których złoty wąż w słońcu się obwija, gdzie wielbłąd znużony pada żując liść kaktusu i zadumany Beduin na chwilę spoczywa, nim Farysem poleci dalej przez pustynię.

W Damaszku spocząłem rozkosznie, upojony jego ogrodami i kryształami rzeki Baruda, która go namiętnie, niby wąż srebrny śród kwiatów rajskich przebiega. Anti-Libanem prądu przez kochany Bajrut wróciłem, zkąd znów na morze przez Sydon pełen chwały wspomnień, przez Tyr któremu Aleksander drugie miasto do nóg rzucił i po nim doń przeszedł, przez Akrę, tuż obok, gdzie młodemu orlu Bonapartemu o mało skrzydeł nie złamano, że do końca nie stracił tego wspomnienia i przez Kaifę stanąłem na prastarym Karmelu. Tu próg Ziemi Swiętej, tam tydzień przebyłem w skupieniu grywając na organach braciom zakonnym, co mnie żegnali z tęsknotą i błogosławieństwem wyprawiając do Jeruzalem. Konno odtąd naprzód do Nazaretu, który mnie do głębi rozrzewnił, jak mało co na świecie; wśród tych wzgórzów Rafaelicznie grupujących się w jakąś sielską, pasterską harmonię, widzisz jak na dłoni młodość Jezusa i ochota jest każdym kamieniem bić się w grzeszne piersi, i kędy staniesz, czujesz że „*On*" tam chadzał. Dalej na boską górę Tabor, w której orłem panujesz i ogarniasz całą Palestynę od niezmierzonych błoni Eż drelonu do błękitnych wybrzeży Jaffy, od doliny Jordanu do szafirów Tyberyady, a nad nimi wzrasta w błękitach wielki Hermon, i szczyt jego Dżebel-Chech, cały śnieżny wiecznym śniegiem i w burzach jak turban śnieżny szyty piorunami, falami zbóż, łąkami trzód, gajami oliwnemi i winnicami Ziemi obiecanej, niekiedy śród nagich skał, gdzie kwitnie maczek purpurowy i dzika ostrożka, oko dopatruje jeziora Tyberyady, tego cudu zaklętego na ziemi.

Gdy je ujrzałem z góry, w takie wpadłem uniesienie, że krzyknąwszy zeskoczyłem z konia i rozpłakałem się jak dziecko. Jest to jezioro inne od wszystkich jezior świata, cudowne, powiadam ci, i musiały się tam cuda dziać, czuć to w atmosferze, w powietrzu, w jakiemś tajemniczem uczuciu, co nas tam przenika, jak gdyby kawał nieba spadł na ziemię. Fala jego cicha, jak turkus płynny, opasany w łagodne brzegi, na wiosnę kwieciste i pełne dzikich laurów różowych: po modrej fali zda się wędrować, śród cichej nocy, postać Zbawiciela w aureolach spokojnych. Czemu śród tych nocy nie byłeś przy mnie na tarasach klasztornych, co jak orle gniazda panują na

górach: czy myślałeś o mnie, jak ja o tobie? Z tamtąd powędrowałem do Jeruzalem i śród wianku imion, przy imieniu matki u grobu świętego, po komunii w uniesieniu szczęsnem wymówiłem i twoje imię. Papier się kończy, płynę do Pyramid: bądź mi zdrów, i szczęśliwy i spokojny.

Twój

Władysław Tarnowski.

Wzór opowiadanej dla dzieci lekcyi Antropologii.

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

IV.

Jest bardzo wiele ciekawych historyi, dotyczących sposobu, w jaki pierwszy raz ogień został wydobyty; ale są to domysły, które nas bynajmniej nie zbliżają do prawdy. Ludzie byli zawsze gotowi do zrobienia użytku ze swego rozumu i ten im też powiedział, iż ogień może być otrzymany przez tarcie dwóch kawałków drzewa. Przy wyrabianiu swoich krzemiennych narzędzi, ludzie widzieli jak się wydobywały iskry; ale widzieli też, iż same te krzemienie nie mogły rozniecić ognia.

Gdy uczuwali zimno, zacierali ręce i ręce stawały się ciepłemi. Przypadek łatwo mógł zdarzyć, iż potrzebowano kawałek drzewa pociągnąć przez otwór zrobiony w innym kawałku drzewa; zdrowy zaś rozsądek wskazywał, że powtarzane tutaj tarcie, będzie wytwarzało coraz większą ilość ciepła, aż nareszcie powstanie ogień płonący. Był to pomysł pierwszego narządu do otrzymywania ognia.

Podróżnicy opowiadają nam, że dzicy w ten sam sposób dobywają ogień w kilka sekund, i że wyspiarze północnych mórz Europy, znalazłszy bardzo tłustego ptaka, przeciągają przezeń knot i to stanowi dla nich rodzaj świecy.

Ogień był tak użyteczny człowiekowi w owe czasy, o których tu mowa, jak i obecnie; według opowiadań podróżników, i dziś zabezpiecza on nieucywilizowanych mieszkańców różnych części świata, przed napadem dzikich zwierząt podczas nocnej pory. Ta użyteczność ognia była powodem, iż utrzymywano ciągle palące się ogniska przez dorzucanie do nich drzewa, którego było pod ręką w obfitości.

V.

Pierwsi ludzie jadali surowe mięso, jak to dziś jeszcze ma miejsce u niektórych północnych plemion; lecz później używano mięsa upieczonego przez bezpośrednie włożenie go w ogień. Następnie wykopywano dół, wyściełano go skórą zabitego zwierzęcia, napełniano wodą, i w nią wrzucano rozpalone do czerwoności kamienie, dopóty, aż woda rozgrzała się dostatecznie i mięso zostało ugotowane. Ale wynaleziono lepszy jeszcze sposób gotowania żywności w drewnianych naczyniach, postawionych na ogniu: naczynia te oblepiano gliną, aby je zabezpieczyć od spalenia. Teraz łatwo już było ludziom dostrzedz, iż glina w ogniu twardniała; zaczęto więc z niej samej lepić naczynia, które suszono na słońcu lub przy ogniu i tak też powstała sztuka wyrabiania naczyń garncarskich.

VI.

Oprócz mieszkań w jaskiniach, ludzie wykopywali sobie także doły, a z ziemi wybranej robili dokoła wał i nakrywali to z wierzchu gałęziami. Czasami kawały kamieni, leżących tu i owdzie, znoszono w jedno miejsce i robiono z nich pierwotną chatę, ustawiając jeden kamień obok drugiego.

Nadto znaleziono w jeziorach, mianowicie też szwajcarskich, resztki domów budowanych na palach, wbitych w dno jeziora. Obrobienie słupów czyli pali wykazuje, iż je cięto siekierami kamiennemi; co znowu stanowi dowód, że ludzie przemieszkiwali w tych osobliwych budynkach w epoce bardzo wczesnej. Domy zaś takie zapewne zabezpieczały najlepiej swoich mieszkańców przed napadami nieprzyjaciół, oraz dzikich zwierząt.

Tacy nawodni, jak ich zowią, mieszkańcy, żyli nietylko w epoce kamienia i w późniejszych wiekach, ale można ich też spotkać obecnie w Indyach wschodnich, w Afryce środkowej i w innych miejscowościach.

Wiadomą jest rzeczą, że mieszkańcy nawodni używali swych kamiennych siekier nietylko do ścinania drzew, ale i do zabijania zwierząt bardzo zuchwałych oraz silnych, jak niedźwiedzia, wilka, dzika. Nauczyli się oni łowić ryby w sieci zrobione ze lnu, a z któremi pływali w czółnach z kory drzewnej, zapuszczali je zaś w wodę przy pomocy ciężarów z kamienia.

Prócz tego co wiemy o mieszkaniach ludzi w pierwszych czasach, należy wspomnieć, że na wybrzeżach Danii, Szkocyi i w innych miejscach znaleziono ogromne zbiory tak zwanych „kuchennych odpadków.“ Zapewne istniały kiedyś wielkie place żywności dla ludzi, którzy blizko tych wybrzeży lub na nich żyli i zgromadzali mnóstwo mięczaków różnych, jak ostrygi, sercówki i t. p.: wszystko to jadano. Razem z odpadkami takiemi znaleziono kości jeleni, z innych zwierząt, ptaków, a także krzemienne noże oraz inne rzeczy.

VII.

Tworząc historyę swoją na ziemi, człowiek doskonalał nieustannie umysł, który prowadził go do coraz nowych odkryć i wynalazków. Każde zaś większe odkrycie pociągało za sobą znaczne zmiany w sposobie życia człowieka.

Odkrycie kruszców, tych skarbów zamkniętych w łonie ziemi i zrobienie z nich właściwego użytku, tworzy epokę ważną. Pomyślmy tylko o niezmiernej użyteczności różnych metali, bez których okręt nie miałby dosyć siły, aby przebyć olbrzymie przestrzenie oceanu, którym machina parowa zawdzięcza swoje uzdolnienie do szybkiej działalności, które nam wreszcie na każdym kroku przypominają wielką swoją wartość. To pewna, że człowiek bez odkrycia kruszców pozostałby w stanie dzikim, a przynajmniej nie zdołałby wznieść się do wyższej cywilizacyi.

Poprzez całą historyę postępu ludzkiego widzimy, iż człowiek nigdy daremnie nie sięgnął do bogatych spichrzów ziemi: zawsze wychodził ztamtąd suto obdarowany. W niejto znalazł on kamień, ale gdy ten okazał się tępym i miękkim dla wykonania zamierzonych dzieł, zastąpiony został korzystnie przez kruszce; w niejto znajduje się wielki skarb, zwany węglem kamiennym, który daje ciepło ludziom a fabrykom ludzkim zapewnia istnienie pomyślne.

Złoto, które znaczy tyle co *żółty, błyszczący* kruszec, było najprawdopodobniej naprzód przez człowieka używane. Jego blask ściągnął na siebie oczy, a znajdowano je w potokach i na różnych skałach powierzchni ziemi. Kruszec ten, pomieszany z drugim, jest dostatecznie twardym, aby służyć na różne sprzęty; w stanie zaś czystym dostarcza pierwszorzędnych ozdób. Tak dziki jak i ucywilizowany człowiek, odznaczają się wielkiem zamiłowaniem tych błyszczących upiększeń.

Naszyjniki wyrabiane z muszel i bursztynu znane były w epoce kamienia, a dzisiaj też dzicy bardziej myślą o ozdobach, niż o ubraniu. Każdy prawie wie, że ludzie ci wszyscy posiadają jeden wspólny sposób robienia się elegantami, co czynią przez pokrywanie sobie twarzy, ciała i członków liniami krzywemi, wykonanemi za pomocą ostrego rylca i następnie napuszczonemi barwą. Zowie się to *tatuowaniem.* Ludzie we wszystkich czasach i miejscach lubieli się pięknie przedstawiać, jakkolwiek upiększenie takie kupowali sobie nawet za cenę cierpienia; a nadto, człowiek zawsze i wszędzie kochał się w rzeczach pięknych, lub w takich, które za piękne uważał.

Miedź jest kruszcem, który wszedł w użycie bardzo również wcześnie; podobnie jak złoto, znajdowany on bywa niepomieszany z drugim kruszcem, a giętkość jego sprawia, iż daje się urabiać łatwo na różne kształty.

Gdzie miedzi było skąpo a znajdowała się cyna, użyto ognia do stopienia obu tych kruszców i mieszano je razem, z czego utworzył się piękny, twardy i użyteczny kruszec zwany bronzem. Wlewając zaś stopniowo masę we formę kamienną, lub wyrobioną w piasku, wykonywano narzędzia pożądanego kształtu.

Wiek, kiedy w użyciu były wspomniane kruszce, nosi nazwę „epoki bronzu.“ Długi czas upłynął, zanim żelazo wydobywano z rudy żelaznej, a następnie przetapiano. Jest to czynność bardzo trudna i wymaga większego uzdolnienia, aniżeli je ówcześni ludzie posiadali; ale skoro im się udało przetapiać żelazo i obrabiać je, wnet zajęło ono miejsce bronzu i było używane na wyrabianie dzid, mieczów, siekier i t. p.; z bronzu wyrabiano zaś wtedy rękojeście i ozdoby, z których wiele takich, jak kolczyki, naramienniki, szpilki do włosów, znalezione zostały w jeziorach szwajcarskich.

Srebro i ołów były w użyciu dopiero później.

VIII.

Dowiedzieliście się więc, że na wiele tysięcy lat przedtem, zanim zaznaczone zostały jakieś podania o człowieku, w historyach spisanych na papirusie (co oznacza trzcinę, z której w starożytności wyrabiano papier, zkąd też i sama nazwa pochodzi) lub namalowanych na ścianach grobów, człowiek niewątpliwie żył na ziemi i działał, a świadectwem tego są narzędzia, oręże, ozdoby i inne pozostałości znalezione w łożach rzek, jaskiniach, łonie ziemi, niekiedy w znacznej głębokości.

Stosownie do wyznaczenia takich kroków w postępie człowieka, pierwotną historyę jego podzielono na trzy peryody, noszące nazwy od rzeczy w owe czasy używanych, a mianowicie:

1. Wiek kamienia, który się dzieli na epokę starszą kamienną i nowszą kamienną.
2. Wiek bronzu.
3. Wiek żelaza.

Kto ma sposobność być w muzeach starożytności, jakie się znajdują po większych miastach europejskich, ten najlepiej pozna narzędzia z każdego peryodu.

Ile lat upłynęło pomiędzy wyrabianiem narzędzi kamiennych a wyrabianiem takichże narzędzi z bronzu, tego nikt nie wie. To tylko pewna, że człowiek używał na wyroby kamiennego materyału wprzód niż bronzowego i żelaznego i że już w wieku kamienia niektóre plemiona odkryły wartość kruszców. Te trzy wieki przechodzą u siebie nieznacznie, jak trzy główne barwy tęczy.

Dajmy na to, takie nawodne mieszkania, o których była mowa, jakkolwiek były budowane przez ludzi w wieku kamienia, jednakże znaczna ich liczba należy do wieku bronzu, a szczątki znalezione świadczą stanowczo o postępie ciągle dokonywanym przez człowieka. Mieszkańcy chat nawodnych umieli uprawiać zboże, robić zapasy żywności na zimę, tkać szaty lniane i chować najużyteczniejsze zwierzęta, jak np. konia, owcę i kozę. Człowiek znacznie przedtem ocenił wielką wartość psa, a najnędzniejsze plemiona które żyły na północnych wybrzeżach morskich, pozostawiły dowód tego w kościach znalezionych między kupami muszli.

(d. c. n.)

POGADANKI LEKARSKIE.

PRZEZ

Dra Wł. Chodeckiego.

O sercu.

Dotykamy dzisiaj najważniejszego organu, tak ze stanowiska czysto naukowego, jak i znaczenia praktycznego; dotykamy organu opiewanego przez wszystkich poetów świata, jako siedliska uczucia i namiętności: posłuchajmy teraz i prawdy, posłuchajmy głosu umiejętności, co ona orzecze nam o sercu....

„Umrzeć na pęknięcie serca,“ co znaczy zwykle umrzeć pod wpływem smutku i żalu rozdzierającego nam serce, jest wyrażeniem bardzo pospolitem, a jednak nie mającem żadnej podstawy. Rozpacz, żal i zmartwienie jak i wszystkie silne wzruszenia duchowe, prowadzą do ważnych zaburzeń w organach trawienia, a przez niedostateczne odżywianie sprowadzić mogą wycieńczenie sił i suchoty płucne, ale od silnych emocyi psychicznych serce nie pęknie.

Z nauką doświadczalną zostawał zawsze w zgodzie wielki Goethe: jego Marya Beaumarchais w „Clawigo“ umiera nie na pęknięcie serca, ale dostaje płucia krwią i schodzi do grobu przez suchoty płucne.

A teraz niech mówią nauka i fakta.

Składające ciało nasze cząsteczki, w ciągłym znajdują się ruchu: zużyte wychodzą a na ich miejsce wchodzą świeże. Ciągle więc odnawiamy się fizycznie, tak że po upływie lat siedmiu nic w nas nie zostaje ze starych cząstek: jesteśmy fizycznie zupełnie inną osobą.

Nazywamy to „przemianą materyi“ wyrażając przez to, że materya składająca nasze ciało, ciągle się zmienia.

Kto zabiera stare cząsteczki i daje nowe?

Krew: przenika ona wszystkie organa za pośrednictwem naczyń krwionośnych, t. j. elastycznych rurek i odbiera wszędzie produkta przemiany materyi a daje w zamian pierwiastek niezbędny dla życia organicznego t. j. tlen. Odpowiedzmy jednak najprzód na bardzo ważne pytanie: gdzie styka się krew nasza z tlenem powietrza atmosferycznego?

W płucach: oddychanie więc ma za zadanie dostarczenie krwi tlenu, a wydzielanie pierwiastku nie zdolnego podtrzymywać życia organicznego t. j. kwasu węglowego.

Tak więc krew utleniając się w płucach obiega całe ciało i przechodząc przez niewidzialne pory ścianek unosi z sobą zużyte cząsteczki, a zostawia nowe.

W tych organach, znaczenie których najważniejszem jest dla naszego życia, znachodzimy i ogromną liczbę naczyń krwionośnych; ktoby się np. spodziewał że sam mózg zużywa piątą część całej massy krwi, a ponieważ jest siedliskiem processów duchowych, w mózgu więc podczas myślenia musi się odbywać szybka przemiana materyi t. j. że komórki mózgowe podczas myślenia odbierają krwi tlen a oddają kwas węglowy. To też mózg gwałtownie oddziaływa na brak krwi: jużto przez kurcze lub utratę świadomości.

Zemdlenie tak częste u kobiet wskutek silnych wzruszeń duchowych, jest chwilową bezkrwistością mózgu, wskutek osłabionej działalności serca.

Widzimy więc, że dla normalnych funkcyi organizmu potrzebną jest przedewszystkiem krew, ów „płyn najszlachetniejszy;“ powiedzmy teraz chociażby słów parę o jej składzie. Otóż głównemi częściami składowemi krwi są: płyn zwany surowicą, sole, białko, oraz czerwone i białe *ciałka krwi*. Z tych części składowych najważniejszemi są czerwone ciałka krwi, zawierają one barwnik czerwony nazwany hemoglobiną.

A teraz przyzwijmy na pomoc wiadomości z chemii: wiadomo ci pewno, czytelniczko, że żelazo posiada powinowactwo do tlenu powietrza atmosferycznego, a ponieważ hemoglobina jest bardzo bogatą w żelazo, przeto ona to głównie wiąże tlen powietrza atmosferycznego.

Interesującem będzie pewno dla czytelniczek dowiedzieć się, że istota bladaczki polega właśnie na niedostatku owego pierwiastku bogatego w żelazo t. j. *hemoglobiny;* dlatego więc żelazo wprowadzamy w sztucznej formie do organizmu.

Ale który z naszych organów jest motorem wprowadzającym krew w ciągły ruch?

Motorem tym jest serce, serce jest mięśniem znajdującym się w jamie piersiowej a składającym się z dwóch komórek i dwóch przedsionków; z komórki lewej wychodzi największa tętnica ciała zwana aortą, a z komórki tętnica płucna, tak nazwana, bo doprowadza krew płucom. Czynność serca polega na tem, że ściągając się wypycha całą swoją zawartość t. j. krew do tętnic; krew jednak powróciłaby znowu do serca, gdyby nie bardzo sztuczny aparat, czyniący powrót ten niemożliwym. Na granicy między tętnicami a komórkami znajdują się klapy otwierające się tylko na zewnątrz. Tak więc krew cisnąca się na nie, zamyka je i przez to nie może powrócić już do komórek sercowych. Wspomnimy zaraz przytem, że niedomykalność tych klapek wywoływać musi najgroźniejsze zaburzenia w krążeniu krwi, a komórki sercowe ulegające ciągle powracającej massie krwi, znacznie się rozszerzają.

Tętnice te wychodzące z serca, coraz bardziej się rozgałęziają, aż ostatnie gałązki stają się nadzwyczaj cienkiemi. Te cieniutkie rozgałęzienia noszą nazwę naczyń włoskowatych. Te naczynia włoskowate zbierają się znowu w jedną grubą żyłę, odprowadzającą krew do przedsionku sercowego. Powtarzamy więc, że tętnice doprowadzają krew całemu organizmowi, a żyły odprowadzają ją zużytą do przedsionków.

W tętnicach więc jest krew bogatą w tlen, w żyłach zaś w kwas węglowy i produkta przemiany materyi.

W tym ruchu krwi po całym organizmie dzielnie dopomagają sercu i tętnice same, tętnice bowiem są elastyczne, a tę własność zawdzięczają znajdującym się w ich ściankach włókienkom mięsnym. Serce wrzucając krew do tętnic i im także udziela ruchu falistego, który z powodu elastyczności tętnic przenosi się na cały ich system i wprawia w ruch krew. Ale w starości ta elastyczność tętnic, wskutek przerodnienia ich ścianek bardzo często ginie, a wtenczas stają się one sztywnemi rurami nie pomagającemi wcale ruchowi krwi.

To też zastoje krwi i wynikające z tego rozmaite zaburzenia, jak gangreny i t. d. są bardzo pospolite w wieku późniejszym. Powiedzieliśmy już wyżej, że ten ruch falisty udziela się całemu systemowi tętnic; tę falę krwi możemy odczuć namacalnie w tak nazwanym „pulsie,“ który też odpowiada ściśle liczbie uderzeń serca. Zastanówmy się teraz chwil kilka nad pulsem.

Przeciętna ilość pulsów u dorosłego mężczyzny wynosi około 72 na minutę; kobiety mają tętno (puls) szybsze; kobiety też odczuwają wrażenia ze świata zewnętrznego daleko prędzej, to też i ich serca biją szybciej. Jeżeli miłość w ten sposób określają, że są to dwa serca co „równo biją,“ to my ze stanowiska fizyologii stanowczo sprzeciwiamy się takiemu określeniu: trudno jest znaleźć serca dwóch mężczyzn, któreby biły jednakowo, a u kobiet tętno zawsze jest szybsze niżeli u mężczyzn.

Ale poezya nie może kłopotać się o fakta naukowe; nie możemy i my kłopotać się o nie w codziennem życiu, nie chcąc znudzić i siebie i drugich. Ale wróćmy do naszego rozbioru tętna. Ludzie wysocy mają daleko powolniejsze tętno, niż ludzie małego wzrostu; ludzie małego wzrostu, są ogółem biorąc, żywsi i energiczniejsi.

Narody południowe mają również cokolwiek szybsze tętno jak północne, najczęstsze jednak tętno mają noworodki.

Częstość tętna u nowonarodzonego chłopca wynosi 130 uderzeń na minutę, u dziewczyny 140. Musimy zauważyć, jest to bowiem bardzo ważne, że tętno u małych dzieci nadzwyczajnie jest wrażliwem; tak np. już przebudzenie lub krzyk podnoszą częstość tętna o 10, 20 i 30 uderzeń. U dzieci również i oddychanie daleko jest częstsze, jak u dorosłych: wynosi ono około 40 oddechów na minutę. U dzieci w ogóle cały proces przemiany materyi odbywa się nadzwyczajnie szybko.

(d. c. n.)

LITERATURA ANGIELSKA.

Zamiłowanie w kraju naszym, zresztą bardzo usprawiedliwione, do piśmiennictwa ojczyzny Walter-Scotta, Bulwera i Dickensa, skłania nas do otwarcia stałej rubryki sprawozdawczej, mającej na celu podawanie czytelnikom naszym wiadomości o nowych publikacyach nietylko w trójkrólestwie, ale i w Stanach Zjednoczonych. Cykl naszych przeglądów obejmie głównie powieść, oraz inne rodzaje belletrystyki, o ile na to miejsce pozwoli; nie pominiemy jednak i poważniejszych zjawisk w dziale zwłaszcza etycznym, lub wychowawczym, jako najbliżej czytelniczki nasze obchodzących. Ponieważ w Anglii produkcya literacka postępuje z szybkością niesłychaną, nikt więc nie może wymagać od nas wyczerpującej ścisłości, zwłaszcza iż na zarysy tego rodzaju w piśmie tygodniowem, szczupłe tylko pozostaje miejsce.

Uprzedzamy, iż w przeglądach niniejszych podawać będziemy wiadomości o książkach nietłomaczonych, bo te, które weszły do naszej literatury, zasługują na obszerniejszą wzmiankę; nadto, że sprawozdania te nie mogą dotyczyć tylko dzieł wyborowych, gdyż w tym razie nie byłyby wiernym refleksem ruchu piśmienniczego, mówić więc w nich będziemy o wszelkiej wartości utworach; wreszcie usiłowaniem naszem będzie pochwycić zawsze ostatnią chwilę.

Powieść trzytomowa Wilhelma Black'a p. t. „Białe skrzydła“ nie wydała w literaturze pochlebnego wrażenia; autorowi podobało się nazwać utwór swój romansem yachtowym, ze względu, że statek „biały gołąb“ jest w nim bohaterem, a wypadki załogi w odległej podróży, osnowę jego stanowią. Rozwlekłe opisy mają cel pedagogiczny, lecz nie są zdolne zaognić interesu. Aby fikcyjne obrazy przemówiły do wyobraźni, potrzeba je kreślić z talentem Verne'a, a właśnie tego braknie Black'owi. Cel naukowy a może zbyteczna ścisłość w opowiadaniach, nałożyły na jego polot autorski wędzidło, które, trzymając na wodzy czytelnika, nie pozwala mu, ani na chwilę wyjść z granic realnej prawdy, aby w kraju fantazyi pomarzyć.

Wypada jednak przyznać, iż część opisowa powyższej powieści nie pozostawia do życzenia, a nawet, ze względu na swoją opisowość, bardzo się zaleca. Dodatnia ta strona utworu byłaby wiele zyskała, gdyby autor miał był odwagę, skrócić go do szerokości jednego tomu. Rozwlekłość w malowaniu scen morskich, naraża całość obrazów na to, iż nie wywierają dość silnego na czytelniku wrażenia. Gdyby Black umiał utrzymać proporcyą, niewątpliwie co do wykończenia pojedynczych ustępów, byłby prześcignął mistrzów tego rodzaju, jak Blackmare, lub Mac-Donald. Figury jego nie grają swych ról, ale raczej są widzami. Tło, któremu autor poświęcił zawiele miejsca, zabarwia ich kontury, tak że osób nie widać.

Człowiek jest najwyższą kreacyą w naturze, dlatego nie można go poświęcać dla pięknych widoków, co właśnie twórca „Białych skrzydeł“ uczynił. Dodajmy że pewne postacie powtarzają się tu z poprzednich jego powieści. Niektóre ustępy są pełne humoru i wskazują, że autor mógłby napisać dobrą powieść obyczajową. Przekład francuski pomienionego utworu już się ukazał w druku.

Powieść dwutomowa pani Yonge: „Miłość i życie“ jak ją sama nazwała, stara historya w szacie XVIII wieku, odnosi się do epoki Jerzego II, i przedstawia rodzaj parafrazy bajki o Kupidynie i Psychos, zawartej w nowelli Appulejusa (Złoty osioł). Autorka już przed rokiem wystąpiła z tego rodzaju pracą (Mój Alcydos), lecz w obecnym utworze znać postęp, albowiem rysy prze-

wodnie więcej wykończyła, malując charaktery a w szczegółach mniej się trzymała niewolniczo pierwowzoru. Zmiana głównego pomysłu, że nie narzeczona szuka oblubieńca, lecz on ją, odpowiada dzisiejszym warunkom etycznym i ma za sobą całe prawdopodobieństwo.

W typach, które mają być angielskie, z wieku zeszłego, autorka dopuściła się kilku anachronizmów. Imiona własne bohaterów również ich cofają do czasów Kromwela. Niektóre postacie grzeszą przesadą, inne za to skreślone są wybornie, n. p. Venus książki, w postaci kobiety, nie unoszącej się skrupułami, co goni za zbytkiem i zabawą, nie patrząc na skutki swej lekkomyślności. Jej związek z Vulcanem i macierzyństwo skreślone są artystycznie.

„Lord Brackenbury“ trzytomowa powieść pani Amelii Edwards, jest najbardziej zajmującym utworem z tych, co się w ostatnich czasach ukazały, czyta się bowiem z przyjemnością od początku aż do końca. Najważniejszy zarzut, jaki uczynić jej można, polega na braku jedności w pomyśle i w charakterach. Są to luźne ustępy, nie związane w organiczną całość, które dotyczą wspólnego przedmiotu i tych samych osób, lecz w szczegółach swoich nader zajmujące i zabawne. Obrazki pojedyncze malowane są z wielkim talentem, a niektórym opisom nie zbywa na uroku i sielskiej naiwności. Takiem jest opowiadanie o karczmie włoskiej, lub o wybuchu Wezuwiusza w 1872 roku.

Przedmiot powieści polega na zniknięciu angielskiego szlachcica podczas podróży we Włoszech, wsród okoliczności domniemywać pozwalających morderstwo i rabunek. Intryga tak się wikła, iż czytelnik jest w ciągłej niepewności co do losu Amfitryona. Wszystkie te trzy powieści zbaczają od zwykłego nastroju dzisiejszego romansu w Anglii, gdzie celem piszących jest wierne malowanie życia, bez szukania jego nadzwyczajności. Szkoła starego Dumas'a pozostała w tradycyi, nikt jednak jego typów nie kopiuje. Melodramatyczność ustąpiła przed prawdami codziennego życia. Typ tego rodzaju powieści, jest obrazem ukształcenia społeczeństwa, które w literaturze nie szuka wrażeń sztucznych, działających na nerwy. Otóż w utworach powyższych dopatrujemy skalę zniżoną, skutkiem czego miejscowa krytyka nie bije przed niemi czołem.

Lecz dosyć o powieściach! Mamy przed sobą mały tomik, zatytułowany: „Ultima Thule“ pióra Longfellow'a, tego Wiktora Hugo z nowego świata, co od lat 60, jak autor Esmeraldy, liry nie złożył. Pisać poezye dla zmateryalizowanego społeczeństwa, do którego ten wytrwały starzec przemawia, to niełatwe zadanie. Ulubioną formą jego natchnienia są sonety, nie należy jednak sądzić, aby nie uprawiał innych rodzajów. Wiersze, które mamy pod ręką, skreślone dłonią 74-letniego człowieka, odznaczają się taką siłą, jakby przed półwiekiem były pisane. Książeczka pomieniona składa się z 20 drobnych utworów, z których trzy zasługują na szczególne wyróżnienie: Jugustha, Elegia z powodu śmierci przyjaciela (poety Ryszarda Henryka Dona) i pieśń jubileuszowa, do której natchnienie dał upominek ofiarowany autorowi przez dziatwę z jego rodzinnej wioski, w dniu imienin. Oprócz tych utworów, są inne pełne uroku i sielskiej prostoty, np. „wiatrak.“

Zakończymy pogawędkę naszą, wzmianką o książce poważnej, wydanej przez Patrieka, p. t. „Życie, czary i listowanie wielebnego dr. Doyle.“ Dzieło to ukazało się po raz pierwszy 1862 roku. Autor, biskup katolicki w Irlandyi, poważne zajmował stanowisko w sprawach Kościoła i w polityce, a wpływ jego na akt wyzwolenia w 1829 r. da się chyba z rolą O' Connel'a porównać. W swoim czasie pisał tylko pod ksyptonymem P. K. L., oznaczającym pierwszą głoskę jego imienia, oraz dyecezyi. Doyle należał do stronnictwa galikańskiego, później wszelako zerwał z niem i połączył się z kościołem powszechnym. Umysł bystry i oko pilnego dostrzegacza, dozwoliły mu śledzić wypadki i przedstawić je w należytem świetle. Dla dziejów angielskich wydanie to ma niepospolitą wartość, odsłaniając politykę Jerzego IV, i rzucając jasny pogląd na stan kościoła katolickiego w Anglii w owym czasie. Edycya obecna pomnożoną została kilku listami, których wartość etyczna zasługuje na uwagę. Z całego dzieła wieje głęboki duch religijny.

A. Niemirowski.

NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

Stefanii B.

Dzieckiem jeszcze będąc zostałam sierotą, zupełnie samą na świecie, bez braci i siorst; jedyną krewną moją była stara ciotka, która mnie usynowiła i w zupełności zastępowała rodzoną matkę: lecz jeden jej postępek zmusił mnie porzucić ją, i zamienić piękny rodzinny dom na obce i nagie ściany jednego z mniejszych hoteli w Berlinie, gdzie znalazłam się naraz odciętą od całej mej przeszłości i od świata, w którym dotychczas żyłam.

Pokój, w którym się znajdowałam, był obszerny i dość czysty, lecz naturalnie tracił w porównaniu ze wspaniałemi apartamentami ciotki; to też prędko sprzykrzyłam sobie oglądanie zwykłych w takich miejscach obrazów z widokami sielskiemi, przysunęłam krzesło do okna, i oddałam się cichym rozmyślaniom. Pod oknem przechodziło tysiące ludzi, warczały koła rozmaitego rodzaju ekwipaży, jak gdyby żywa, szumiąca rzeka toczyła swe niespokojne fale przed memi oczyma. Jeszcze nigdy z takiem zajęciem nie śledziłam wrzącego życia ulicy, w które niebawem miałam się pogrążyć, czy zostanę pochłonięta, czy też zwycięzko wypłynę z tej toni?... Ludzie prędko przechodzili mimo, jedni mijali drugich, wszyscy się śpieszą, a każdy żyje osobnem życiem, każdy ma swoje boleści, nadzieje i cele!... Na twarzach jednych można wyczytać, że życie ich pełne trosk i trudów; drudzy zdaje się, że stąpają po różach, tak wyraz ich twarzy spokojny i radosny, gdy znów inni patrzą przed siebie z taką rozpaczą, jak gdyby tam blisko widzieli otwarty grób..

Chcecie serca wasze odkryć współczuciu i litości, nie zastygnąć w zimnym egoizmie, idźcie i śledźcie życie uliczne we wszystkich jego objawach... Mnie przynajmniej, moje osobiste kłopoty tak drobnemi, nic znaczącemi wydały się w porównaniu z tą przepaścią nieszczęść, które czytałam na twarzach przechodzących! Miałam silne zdrowie, energię i chęć do pracy, powierzchowność nie odstręczającą — więc dalej — żałować przeszłości nie powinnam.

Chociaż właściwie nie ja będę bohaterką niniejszego opowiadania, jednak pozwól mi, czytelniku, powiedzieć o sobie słów kilka; gdy poznamimy się z sobą, łatwiej mi będzie opowiedzieć tę dziwną historyę.

Nazywam się Maryanna Ewers. Jak już wspomniałam, po śmierci rodziców, byłam wychowywaną przez moją jedyną krewnę, siostrę mojego ojca, także Ewers, która będąc bogatą i bezdzietną, wcześnie naznaczyła mnie sukcesorką swego znacznego majątku. Nauki skończyłam w jednym z pierwszych pensyonatów, i w siedemnastym roku weszłam w otwarty dom ciotki, gdzie używałam wszelkich praw córki. Przez trzy lata żyłyśmy w niczem nie naruszonej zgodzie, gdy nagle, proponowane małżeństwo stało się powodem naszego poróżnienia. Właściwie miałam dwóch konkurentów: jeden młody gwardyjski oficer Bruno Raun; drugi, stary baron von Wilten. Mnie naturalnie więcej podobał się Bruno, byliśmy już nawet po słowie, gdy ciotka moja zaczęła na mnie nastawać, żebym z nim zerwała a przyjęła oświadczyny barona, jej starego przyjaciela. Ja nie chciałam słuchać o tem, bo kochałam Brunona całą duszą, i nie zamieniłabym go nawet na udzielnego księcia.

W skutek tego, dość ostro się przemówiłyśmy i ciotka w uniesieniu, przypomniała mi dobrodziejstwa świadczone od lat tylu. Teraz wiem, że nie mówiła tego w złej myśli, bo kochała mnie jak własną córkę; ale słowami temi silnie ubodła moją dumę, i w zaślepieniu doszłam do przekonania że nie chce, abym dłużej była w jej domu. W godzinę po tej sprzeczce, weszłam do jej buduaru ubrana po podróżnemu. Kufry naprędce spakowałam, w woreczku miałam trochę pieniędzy na pierwsze potrzeby, w głowie silne postanowienie udać się w świat — dokąd? — Nie wiedziałam jeszcze.

— Gdzie się wybierasz, Maryanno?

— Porzucam ciebie, ciotko. Wymówiłaś dobrodziejstwa świadczone sierocie: ja nadal nie chcę z nich korzystać.

— Nie powinnaś mnie tak porzucać—zawołała przestraszona—co na to powie świat?

To ostatecznie mnie zdecydowało. Jeżeliby wyrażiła żal z powodu mego odjazdu, jeżeliby powiedziała, że nie powinnam jej porzucać, bo dziecko nie zostawia tak swojej matki, a ona przecież była mi matką: wtedy, duma moja zniknęłaby i w serdecznym pocałunku zapomniałabym urazy. Ale „co powie świat“ na to, że Maryanna Ewers, nie chce nadal korzystać z miłosierdzia bogatej krewnej, to mnie zupełnie nie obchodziło.

— Powiedz, ciotko, twojemu światu to, coś rzekła mi dziś rano — odpowiedziałam — a nikt się nie zdziwi, że odtąd chcę sama na siebie pracować.

— I co ty zamyślasz robić?—zapytała z gniewem.

— W ostateczności znajdę miejsce guwernantki: zawsze to lepsze niż być komu ciężarem.

— Jak ci się podoba—była zimna i pogardliwa odpowiedź.

I tak rozstałyśmy się.

Wstydzę się teraz mojej niewdzięczności, lecz wtedy sądziłam, że postępuję słusznie; przytem nieznane życie wiele uroku przedstawiało młodej, niedoświadczonej dziewczynie. Posłałam po fiakra, ułożyli kufry; lecz kiedy woźnica spytał gdzie jechać, dopiero wtedy przedstawiła mi się ciemna droga mojej przyszłości. Gdzie będę żyć teraz?... Wymieniłam hotel na jednej z dalszych ulic, woźnica zaciął konie i ja zostawiałam za sobą rodzinny dach, za którym duma nie pozwalała mi nawet łzy uronić. Bez obawy rozgościłam się w wyznaczonym mi numerze. Zmierzch zaczął zapadać, cienie na ulicy stawały się coraz niewyraźniejsze; odeszłam od okna i zapaliwszy świecę zaczęłam przeglądać świeże gazety. Daleką byłam od czytania, myśli wciąż wybiegały do tych, których porzuciłam, gdy nagle wzrok mój padł na ogłoszenia, znajdujące się na ostatniej stronicy gazety.

Oto jakim sposobem najprędzej znajdę zajęcie — rzekłam sobie i pilnie zaczęłam czytać anonse. Zaraz na początku zajęło całą moją uwagę następujące ogłoszenie: „Poszukuje się damy do towarzystwa młodej osobie mieszkającej na wsi; wymagane jest wykształcenie: niech zgłaszają się te tylko, które zgodzą się na ciche, zupełnie odosobnione życie. O bliższych warunkach można dowiedzieć się u adwokata Engelmana, Szeroka ulica Nr. 49— między 11 a 12 rano.“

Właśnie tego mi potrzeba — pomyślałam i postanowiłam poprobować.

Następnego dnia ubrałam się starannie i o jedenastej byłam w oznaczonem miejscu. Z wielkiem zdziwieniem zastałam już czekających kilka kobiet, które prawdopodobnie przyszły w tym samym, co ja celu. Niektóre z nich zajmowały krzesła, inne stały oparte o stół, gdyż przedpokój był bardzo niewykwintnie umeblowany a czekających było piętnaście. Z prawdziwem zajęciem śledziłam wyraz twarzy moich towarzyszek: jedne spoglądały gniewnie i chmurno, drugie uśmiechały się pełne nadziei, a wszystkie zawistnym wzrokiem spotkały mnie, gdym stanęła w ich gronie. Teraz dopiero spostrzegłam, że ubranie moje zabogate było, jak na osobę poszukującą miejsca: jedwabna sukia i aksamitne palto zupełnie nie w miejscu były, i kilkanaście par oczu spotkało mnie niemem zapytaniem „pocoś tu przyszła nam chleb odbierać.“ Możeby i słowami zechciały objawić swoje nieukontentowanie, gdy drzwi się otworzyły i wszedł sekretarz mó-

wiąc, że adwokat gotów jest nas wysłuchać. Postanowiłyśmy jednozgodnie przedstawiać mu się w takim porządku, jak siedziałyśmy, a następnie, kiedy ten punkt, któremu jak się zdaje wszystkie najwięcej wagi przyznawały, był rozstrzygnięty, jedna z nas siedząca z brzegu opuściła przedpokój, z pełnym zaufania w siebie uśmiechem, nie wątpiąc w duchu, że zostanie wybraną.

Nie wiem jakie układy wiedli między sobą adwokat Engelmann i moje poprzedniczki, ale jedna po drugiej wchodziły i wychodziły z gabinetu, i nakoniec kolej przyszła na mnie. Z gorączkowym dreszczem nadziei i strachem weszłam do pokoju, i zobaczyłam staruszka z przenikliwym a zarazem dobrodusznym wyrazem twarzy, z jasnemi, na wskroś przenikającemi oczami, których nigdy nie zapomnę, i w obec których niepodobna zdaje się skłamać. Na przywitanie moje pokłonił się uprzejmie. Powiedziałam że przyszłam w skutek ogłoszenia, na co on odrzekł z pełnym znudzenia gestem:

— Otwarcie powiem pani, że z żadną, dotychczas widzianych interesantek nie mogłem się umówić.

— To widocznie, inaczej kolej nie przyszłaby na mnie—odpowiedziałam.

On uśmiechnął się lekko i spojrzał na mnie swemi przenikliwemi oczami.

— Działam w imieniu jednej mojej klientki, której nazwiska z różnych przyczyn nie mogę wymienić. Miejsce ciche, zajęcie bardzo lekkie, ale życie zupełnie odosobnione i samotne.

— Czy mogę spytać o warunki?

— Ich bardzo nie wiele — odpowiedział — „Szuka się towarzyszki dla młodej osoby, żyjącej samotnie w swoim majątku nad brzegiem morza.“

— Czy ona niezdrowa? A może słaba na umyśle?

— Ani jedno, ani drugie—była krótka odpowiedź.—Stara gospodyni, niegdyś mamka młodej damy, prowadzi cały dom. Oprócz niej jest jeszcze troje sług, trzymanych więcej dla bezpieczeństwa niż dla pracy.

— To wszystko bardzo dziwne—rzekłam zamyślona.

— Dlaczego?—prawie gniewnie zapytał adwokat.

— Młode osoby nie mają zwyczaju żyć w takiej samotności.

— Jestto wyjątkowe położenie—rzekł poważnie — i z niem związane niezwykłe okoliczności. Przytem mogę panią zapewnić, że młoda osoba jest nie tylko w wysokim stopniu przyzwoitą, ale jeszcze należy do znacznej szlacheckiej rodziny. Teraz od pani zależy przyjąć miejsce albo nie...., Sądząc po powierzchowności, i pani także pochodzi ze szlachetnego rodu?

Ja schyliłam głowę na znak potwierdzenia, a on ciągnął dalej:

— Pensyę dadzą znaczną, obowiązki, jak już powiedziano nie ciężkie; ale muszę panią uprzedzić, że nudniejszego życia trudno sobie wyobrazić. Dom stoi zupełnie oddzielny i niczyje wizyty nie przerwą samotności jego mieszkańców. Musisz się pani obejść zupełnie bez towarzystwa.

— Jest tam przynajmniej fortepian? — spytałam. (d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Rzeczy społeczne.

Kongres hygienistów odbył się we Wrześniu r. b. w Turynie, przy współudziale licznie zgromadzonych reprezentantów różnych narodowości. Pierwszy taki kongres odbył się w Brukselli 1852 r.; drugi we dwadzieścia sześć lat t. j. 1878 r. w Paryżu, na którym obrano Turyn na miejsce następnego zebrania. Zagranicznych reprezentantów było 90, przeważnie francuzów, z Rosyi było czterech, jeden szwed, jeden serb, trzech z Belgii, pięciu anglików i angielka pani Bonet Sturge, dwóch japończyków, jeden chińczyk i t. d. Warszawę reprezentował Dr. Lubelski. Po uroczystem otwarciu kongresu przez sędziwego syndyka Turynu hr. Ferraris, po wysłuchaniu licznych mów, członkowie rozdzielili się na 9 sekcyi i rozpoczęli właściwe obrady. Każda sekcya miała swego prezesa, obranego przez głosowanie; zaszczytną tę godność w każdej sekcyi piastował krajowiec włoch, wice-prezesi byli z pomiędzy cudzoziemców wybrani. Naszemu reprezentantowi Dr. Lubelskiemu przypadła godność wice-prezesa IV sekcyi, która obradowała o hygienie szkół i dzieci.

Na jednej z sesyi ogólnych Dr. Lubelski przedstawił plany kanalizacyi miasta Warszawy, które ogólną pochwałę zyskały i poznajomił członków z nazwiskami i pracami naszych powag medycznych.

Jako dar złożył Dr L. kongresowi przepyszne album fotografii patologicznych p. Brandla z Warszawy: był to najbogatszy dar na kongresie.

Nieobecny król Humbert zaprosił w swem imieniu członków kongresu na wystawny lunch, wydany w oranżeryi, przepysznej rezydencyi królewskiej. Podejmował gości hr. Ferraris. Po ośmiodniowych konferencyach, obrano Genewę na miejsce zebrania się następnego kongresu, po upływie dwóch lat i członkowie rozjechali się, unosząc w sercu szczere zadowolenie, spojeni węzłami braterstwa w imię nauki i prawdy.

Teatr.

Obiecane reformy teatralne, w zupełności się zaczynają urzeczywistniać. Pierwsze posiedzenie komitetu artystyczno-doradczego, odbyło się w dniu 1 listopada pod przewodnictwem p. prezesa Wsiewołożskiego.

Do komitetu tego, mogącego mieć wielką przewagę w losach naszej sceny, wezwani zostali redaktorzy dzienników, artyści i krytycy. Na posiedzeniu tem rozstrzygano kwestyę przedstawień popołudniowych, godząc się najzupełniej na możliwość ich bytu: zalecano przedewszystkiem wybór sztuk ludowych.

Drugą kwestyą była rozprzedaż biletów, tak nieracyonalnie u nas prowadzona. Komitet oświadczył się za urządzeniem dwóch kass: w jednej byłaby urządzona sprzedaż biletów droższych, w drugiej tańszych; jak niemniej za rozprzedażą biletów na kilka dni naprzód za małą dopłatą, jak to się praktykuje zagranicą.

Wreszcie wybrano komisyę do odczytania i wyboru sztuk mających się przedstawić. W skład tej komisyi weszli pp. Bogusławski Władysław, Kaszewski Kazimierz, Sienkiewicz Henryk (Litwos), Lubowski Edward, Sarnecki Zygmunt.

— Pani Kochańska rozpoczęła swe występy koncertem wielkim, w salach redutowych. Cudowny głos słowika galicyjskiego zyskał jeszcze bardziej, jeśli to jest możebnem, na srebrzystości dźwięku i czystości intonacyi. Na występy w operach, bilety w jednej chwili rozchwytano.

Bibliografia.

— Ukazał się prospekt na dzieła Lucyana Siemieńskiego w 10 tomach. Nakładcą jest pan Unger, a kierunek naukowy objęli hr. St. Tarnowski i prof. Szujski.

— Wyszedł z druku kalendarz dla gospodyń, przez autorkę 365 obiadów, p. t. Kolęda dla gospodyń. Jestto coroczne wydawnictwo, bardzo pożyteczne w domowem gospodarstwie, z starannie opracowaną treścią.

Wyróżniają się: Pogadanki z dziedziny gospodarstwa domowego Dr Lutostańskiego, oraz użyteczny artykuł Nasze sługi. W części literackiej znajdujemy, wyborną lekcyę przedmiotową o Kanarku przez p. Dygasińskiego, znaną z wygłoszonych prelekcyi. Artykuły p. Ilnickiej p. t. Miejskie panie, Zawodowa praca kobiet i popularne artykuły lekarskie dr. Fritschego. Przepisy gastronomiczne, jak wszystko co podaje p. Ćwierczakiewicz są wyborne, a co najważniejsza pewne.

Przemysł domowy i fabryczny.

— Begonia. Jest temu prawie dwa wieki, jak intendent marynarki francuzkiej zwany Begon, przywiózł z Azyi nową roślinę: nadano jej z tego powodu nazwę: „Begonii.“ Kobiety niedomyślają się wcale, jak ważną rolę w wyrobach najzbytkowniejszych, otrzymała właśnie ta roślina.

Wiemy o tem, że szale najbardziej cenione, pochodzą z Kaszmiru, miejsca położonego w Indyi u stóp góry Himalaya.

Z pięknej, delikatnej wełny kóz Tybetu, tkacze Kaszmiru wyrabiają szale, tyle drogie w Europie. Co nas najbardziej w nich uderza, to ich desenie polnej barwy i świetne, narzucone w palmy i palemki. Rysunek ten, czyż jest tylko kaprysem bujnej wyobraźni? Nie, tak nie jest.

Przyroda Wschodu dostarczyła liści zachwycających kształtów, a słońce ubarwiło je delikatnie; tkacze Kaszmiru, naśladują te liście, tak jak greccy snycerze naśladują wycięcia liści akantu w kapitelach porządku korynckiego.

Te piękne liście nazywają się: „Begonia.“

Kiedy Francuzi przybyli do Egiptu, przy końcu ostatniego wieku, byli zachwyceni prześliczną tkaniną kaszmiru, jakiej mieszkańcy Wschodu używali na swoje ubrania, w formie szali, zawoi, pasów, sukien, tiunik. Oczy ich były olśnione blaskiem tych cudnych barw.

Uwielbiali kaszmir, jako tkaninę przydatną dla każdego klimatu, i w tak malownicze draperye zdobiącą postacie ludzkie obu płci, i nadającą im wdzięk i powagę zarazem.

Szale i zawoje pokazały się we Francyi, za powrotem zwycięzców, z pod Piramid; otrzymały najwyższe pochwały, kobiet wielkiego świata.

Od tej to epoki datuje moda szali we Francyi, kaszmir wzniecił niesłychany zapał. Szale wzrosły w cenie od 1,000 do 7,000 franków.

Podczas cesarstwa, żadna z kobiet dystyngowanych, nie pokazała się inaczej jak udrapowana w kaszmir. Ta moda, chociaż zarzucona za naszych czasów, nie jest jeszcze zupełnie wygnaną; wprawdzie rzadko można się spotkać z kaszmirem indyjskim; ale młode mieszczanki muszą mieć w swej wyprawie podobnąż tkaninę, pochodzącą z fabryk francuzkiego przemysłu.

— Statystyka szpilek. Doszły nas dane statystyczne, przedstawiające ciekawy rachunek o ilości szpilek wyrabianych w fabrykach każdodziennie. Zakłady w Birmingham trzymają pierwsze miejsce w tym rodzaju przemysłu, produkują one codzień 37 miljonów szpilek; fabryki Londynu, Strand i Dublina, wyrabiają 17 miljonów, na samą Anglję: więc codzienna produkcya wynosi 54 miljony szpilek.

We Francyi zaś, różne fabryki jak w Paigle, Rugle i w Paryżu, wyrabiają 20 miljonów, w Holandyi, Niemczech i innych, prawie 10 miljonów.

Dosyć, iż można przypuszczać bardzo prawdopodobną cyfrę ośmdziesięciu miljonów wyrabianą w fabrykach dziennie, co stanowi rocznie summę 29 miljardów—200 miljonów, a ilość ta stanowi wartość 11 i pół miljona franków.

Mimo tak ogromnej produkcyi, i chociaż szpilki nie niszczą się prawie, a łamią bardzo rzadko; co chwila można słyszeć ten frazes: „Czy nie miałabyś szpilki, aby mi pożyczyć.“

Przypuściwszy iż nikt nie gromadzi szpilek w wielkiej masie, jeżeli znikają tak szybko z kursu, domyślać się należy iż dzieje się to tylko zgubą, i przychodzi się do przekonania, iż codzień ginie 80 miljonów szpilek.

Przez długi czas szpilki dawały ciekawy przykład rozdziału pracy: jedna szpilka musiała przechodzić przez ręce 14 robotników, a każdy z nich, codziennie należał do roboty około 100,000 szpilek. Dziś maszyny zastąpiły w większej części pracę ręczną robotników.

Jeżeli w obec tych cyfr statystycznych produkcyi szpilek, poszukamy także cyfry przychodu jednej z nich, natrafimy na liczbę niemniej ciekawą. Szpilka sprzedana po średniej cenie fabrycznej, daje jej przychodu dwu lub trzy tysięczną część centyma.

OD REDAKTORKI I WYDAWCZYNI

„NOWYCH MÓD PARYZKICH."

Być organem wszystkich potrzeb *kobiety-obywatelki*:—oto cel naszego pisma, do którego stale zdążamy.

Mając potrzeby te na względzie i popierając szczerze każdą chęć do pracy, kobiet naszych, czuliśmy się w obowiązku ułatwić także nabycie uzdolnienia fachowego, które dziś najpewniejszy chleb dać może.

W tym celu, z dniem 1-*go Listopada b. r.* otworzyliśmy przy lokalu redakcyi:

„SZKOŁĘ RZEMIOSŁ"

gdzie wykładane będą wszystkie, przystępne dla kobiet zajęcia, poczynając od najpotrzebniejszych t. j.

NAUKI KROJU BIELIZNY I SUKIEN.

W miarę przybywania uczennic i rozwijania się zakładu, wszelkie GAŁĘZIE PRACY KOBIECEJ jako to: kwiaciarstwo, koronkarstwo, introligatorstwo galanteryjne, drzeworytnictwo, retuszowanie, heliominiatury, rysunek, malarstwo i t. p. wejdą w program nauki. Ceny za naukę oznaczać będziemy nizkie, aby najmniej nawet zamożnym kobietom dać możność korzystania z zakładu.

Obecnie zapisywać się można na:

Lekcye kroju bielizny i sukien, kurs całkowity rs. 15.
Lekcye heliominiatur, kurs całkowity rs. 15.

Chcąc aby nauka kroju była połączoną z niezbędną w takich razach praktyką, otwieramy równocześnie, przy redakcyi:

PRACOWNIĘ SUKIEN I BIELIZNY,

zasilaną wzorami najmodniejszych fasonów z Paryża.

Również przy lokalu redakcyi istnieje: ZAKŁAD FORM PAPIEROWYCH, który będąc urządzonym na większą skalę, dostarczać jest w możności najświeższych fasonów bibułkowych.

Żurnale z Paryża, dwa razy w tydzień świeże nadchodzą.

Osobna sala pomieści SZKOŁĘ SZYCIA, gdzie panienki, po skończeniu pensyi mogą uczęszczać dla nabrania wprawy w tak potrzebnej nauce.

W razie dostatecznej liczby uczennic do NAUKI KORONKARSTWA, sprowadzoną będzie nauczycielka z zagranicy.

Rodzice na prowincyi zamieszkali mogą stale córki swe umieszczać, u przełożonej zakładu, a zarazem redaktorki „Nowych Mód Paryzkich"

Maryi Ratyńskiej.

☞ W skutek potrzeby powiększenia lokalu, *redakcya, pracownia sukien, formy bibułkowe,* tudzież *szkoła pracy dla kobiet,* przeniesioną została **pod N. 8 przy ulicy Niecałej,** i tam też *zapis uczennic się odbywa.*

TREŚĆ NUMERU. W krainie złota. Nowella. Przez Litwosa.—Z tygodnia.—Nie wesoło (wiersz).—List ś. p. hr. Władysława Tarnowskiego, do autora Lirenki.—Wzór opowiadanej dla dzieci lekcyi Antropologii, przez Adolfa Dygasińskiego (ciąg dalszy).—Pogadanki lekarskie. Przez d-ra Wł. Chodeckiego.—Literatura angielska.—Nad brzegiem morza. Nowella. Przekład z niemieckiego St. B.—Rozmaitości.—Od redaktorki i wydawczyni „Nowych Mód Paryzkich." **W Dodatku:** Jan des Baumes (dokończenie).

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, Jan des Baumes, 2.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Октября 1880 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**